Aktualne problemy polityki kulturalnej

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ROK kalendarzowy nigdy nie jest miarą zjawisk kulturowych. Natomiast ostatnie dwulecie daje obszerny materiał dla szeregu porównań, zwłaszcza dotyczących tak zwanej polityki kulturalnej. Dużo w tej materii wylano atramentu i wiele wygłoszono przemówień, a sprawa mimo to posuwa się naprzód... Już to jest wielkim osiągnięciem. Zagadnienie kultury staje się pomału sprawą i troską nie tylko Ministerstwa, lecz także rad narodowych, działaczy kulturalnych i nade wszystko ludzi sztuki. Teatry i kina zostały skazane na autentycznego widza, prasa i wydawnictwa — na realnych czytelników. Nie rozprowadza się już „planowo" czasopism i nie organizuje się widowni teatralnych. Ludzie poczuli się bardziej dorośli, a kierownicy instytucji zrozumieli, że są odpowiedzialni za powierzoną im pracę. W polityce kulturalnej zaczęto przyjmować zasadę, że jeżeli chcesz złowić rybę, musisz przynajmniej liczyć się z tym, co ryba lubi. Powoli zaczęła zwyciężać zasada wartości i doboru naturalnego.

Czy to są wielkie osiągnięcia? Tak, to są bezspornie wielkie osiągnięcia.

Może więc ktoś zapytać, po cóż tyle dyskusji, kiedy sprawy kształtują się same.

Cała bieda jednak w tym, że wiele spraw nie chce kształtować się samorzutnie. Nie chce i nawet nie może. Przyjęliśmy słuszną zasadę, że twórca, żyjąc i pracując w socjalistycznym społeczeństwie, reprezentując także jego określone racje historyczne, jednocześnie ma pełne prawo do samodzielnej twórczości. Do niego więc należy zarówno wybór, odpowiadającej jego zainteresowaniom tematyki, jak i wybór formy zgodnej z jego widzeniem artystycznym. O sukcesie dzieła, o jego roli społecznej decyduje w tych warunkach nie anonimowa opinia, lecz konfrontacja zjawiska artystycznego z odbiorcą. Decyduje dyskusja, wymiana zdań, popyt, reakcja społeczeństwa na ładunek moralny i artystyczny dzieła, które w ten sposób uzyskuje stopniowo właściwe wymiary dla swojej oceny.

GŁOSOWAĆ ZACZYNA ODBIORCA

TO SĄ już niemal truizmy. Między truizmami a aktualną polityką leży ogromna przestrzeń ludzkiego działania. Wydawnictwa, kino, teatry, telewizja, radio, sale koncertowe i wystawowe, domy kultury i świetlice. Instytucje te wypełniają konkretni ludzie i konkretni ludzie nimi kierują. A ludzie, jak to ludzie. Mają swoje upodobania. Swoje sądy. Swoje legitymacje urzędowe i partyjne. I przy pierwszej konfrontacji osiągnięć i błędów stają zakłopotani wobec coraz nowych trudności, zwłaszcza jeżeli chodzi o wytyczenie dalszego kierunku naszej polityki kulturalnej.

Żeby nie być gołosłownym, przyjrzyjmy się kilku zjawiskom. Zacznijmy od polityki wydawniczej. Jest niewątpliwym faktem, że w omawianym okresie wiele nowych arcydzieł literatury światowej zostało przyswojonych polskiej kulturze. Dotyczy to zarówno literatury klasycznej, literatury radzieckiej, jak również współczesnej literatury zachodniej. Polski czytelnik może dziś przeczytać nie tylko Czechowa, Gorkiego, Szołochowa, Fadiejewa, lecz również Pilniaka, Fiedina, Dudincewa, Pasternaka, Błoka i Jasienina. Nie tylko Anatola France'a, Conrada, Romain Rollanda, Kellermana, lecz i Camusa, Sartre'a, Faulknera, Hemingway'a, Steinbecka i wielu innych, gdyż podobnych pozycji mógłbym wyliczyć znacznie więcej. Chodzi mi jednak o zasadę. A zasada, wydaje mi się, była pod każdym względem słuszna. Pozostaje raczej sprawa właściwych proporcji. A proporcje nazbyt często płatają nam złośliwe figle. Na przykład, w zacytowanym przeze mnie zestawieniu, bardzo ubogo wygląda literatura państw demokracji ludowych i, co gorzej, równie ubogo literatura własna.

Może ktoś powiedzieć, jakaż w tym wina wydawców? Miejcie pretensje do samych siebie. Piszcie, a będziecie wydawani. Na pewno tak. Lecz dla twórczości potrzebny jest klimat. Powiedziałbym nawet — nastrój. Tymczasem nastrój dla twórczości rodzimej jest bardzo swoisty i swoiście egocentryczny. Jest to nastrój mody na ultranowoczesność. Nowoczesność i nowatorstwo za wszelką cenę. Jestem wielkim entuzjastą literatury nowoczesnej. Nie może zresztą istnieć współczesna literatura nienowoczesna. Tylko, że gdy dwóch ludzi mówi to samo, nie oznacza to, to samo.

Krótko mówiąc, nie ma u nas dotąd dobrego klimatu dla nowoczesnej, zaczepnej, bojowej twórczości politycznej. Oczywiście, politycznej, w najlepszym tego słowa znaczeniu, dla której nie tylko założenie ideowe, lecz również rozwiązanie artystyczne jest legitymacją przed czytelnikiem. A tymczasem, nawet gdy przyjmiemy zasadę „prawa serii", to ta seria trwa już na rynku wydawniczym za długo. Głosować zaczynają czytelnicy i odbiorcy. Dziwaczące książki na rynku wydawniczym, a sztuki w teatrach padają bezgłośnie i bez niczyjego protestu. Natomiast sztuki nieraz bardzo nowoczesne w formie, a nawet książki w rodzaju „Procesu" Kafki, książki ostre, biczujące, stawiające problem mają zawsze zapewnionego widza i czytelnika. Również mają „murowanego" odbiorcę sztuki normalne, pisane dla normalnych ludzi, jak na przykład „Pastorałki" i „Nasze Miasto" w Teatrze Współczesnym. To samo dotyczy filmów, radia, telewizji.

Gdy problem jest „życiowy", ludzie walą jak na mecz bokserski, gdy pokazują się maski, symbole, dyskusja o niczym, pseudofilozofowie, system kojarzeń ad absurdum, ludzie ziewają. Nikogo to już nie bawi. Reżim pozwala, a odbiorcy nie chcą. Owoc nie jest zakazany, lecz okazał się bez smaku.

Sądzę, że są to zjawiska, z których powinniśmy zacząć wyciągać wnioski.

Polityka kulturalna aż się prosi, żeby zaczęto ją w sposób rozumny stosować. Od jakiej strony? Przede wszystkim od walki z tym, co w kulturze jest antykulturalne, szmirowate, kołtuńskie. Jeżeli chodzi o takie sprawy, jak problem dziedzictwa kulturalnego, to przede wszystkim jest to zagadnienie właściwego rozplanowania pozycji wydawniczych i właściwego profilowania teatrów. Nie mogą wszystkie teatry być ultraeksperymentalne. Potrzebne są jedne i drugie. Potrzebne są teatry „matki" i teatry „w wieku przejściowym" i wreszcie teatry szukające nowych dróg. Obywatel winien wiedzieć, czego może się spodziewać po tym czy innym przybytku Melpomeny. Nie może za każdym razem zgadywać.

To samo dotyczy właściwych proporcji muzyki poważnej i rozrywkowej, ekstrawagancki i popularnej. Właściwe proporcje winny być zachowane i w Teatrze Wyobraźni Polskiego Radia i w repertuarze telewizji. Nie możemy również pracować bez rozumnego dawkowania audycji na serio i audycji rozrywkowych, programu dla wsi i miasta, programu dla młodzieży, traktowanej „na dorosło", i programu dla dzieci, które również mają prawo do beztroskiej rozrywki. Jednym słowem, pracujmy dla wszystkich i grajmy na wszystkich pedałach. Nie bądźmy jednostronni nawet w sprawach polityki kulturalnej, a cóż dopiero w sprawach sztuki.

DZIEŁA SZTUKI NIE RODZĄ SIĘ NA KAMIENIU

I WRESZCIE, jeszcze jedno zagadnienie. W każdej dziedzinie obowiązuje ochrona własnej produkcji przed zalewem z zagranicy. Niechże ona obowiązuje i w twórczości. Nikt nie mówi o zatrzaśnięciu bram przed światem, lecz jakże wiele tłumaczy się u nas pozycji niepotrzebnych, po prostu żadnych. Zaśmieca się rynek makulaturą, nie poszukiwaną przez nikogo. Dotyczy to nie tylko książek, dotyczy to również piosenek i melodii tanecznych.

Więcej, stanowczo więcej ryzykujmy, jeżeli chodzi o popieranie twórczości rodzimej. Stwórzmy jej właściwe warunki. Niech pisarze nie muszą, żeby się utrzymać, tłumaczyć dzieł obcych. Niech kompozytorzy nie muszą kołatać miesiącami, by wykonano ich utwory. Pomyślmy o klimacie dla polskiej piosenki i polskiej muzyki rozrywkowej. Spróbujmy rozstrzygnąć praktycznie szereg zagadnień, o których mówimy bezskutecznie od dawna.

Skojarzmy wreszcie architekturę z plastyką. Instytut Wzornictwa Przemysłowego z przemysłem. Teksty poetów z muzyką. Domy kultury, ich wnętrza z prawdziwymi twórcami. Inwestujmy rozumniej, ale jeżeli trzeba i wydatniej na polską kulturę.

Żadne drzewo nie owocuje, gdy ogrodnik zamienia się w buchaltera. Liczmy dewizy. Zgoda. Bądźmy oszczędni dla administratorów. Zgoda. Nie możemy jednak bezdusznie komercjalizować kultury. Dzieła sztuki nie rodzą się na kamieniu. Polityka kulturalna to również polityka rozumnego mecenatu państwowego i społecznego. Musimy wiedzieć z kim i dla kogo pracujemy. Słusznie wyrównujemy te czy inne zaniżone ceny w teatrach i w kinach, które stworzyły paradoksalną sytuację, że do kinematografii dokładano w Polsce blisko 200 milionów złotych rocznie. Nie można jednak polityki kulturalnej sprowadzić wyłącznie do polityki oszczędzania. Jak wszędzie, tak i w tym wypadku racjonalne proporcje decydują. Rozsądne uwzględnienie proporcji i prawidłowości, lepsze zrozumienie ludzi i spraw ułatwią rozwiązanie skomplikowanych zadań ofensywy kulturalnej.

400

Następny czterechsetny z kolei numer „Nowin Tygodnia" zawierał będzie 6 stron — specjalny dodatek „Małe Nowiny Tygodnia". W wydaniu jubileuszowym zamieścimy oprócz stałych rubryk liczne artykuły i felietony naszych współpracowników.

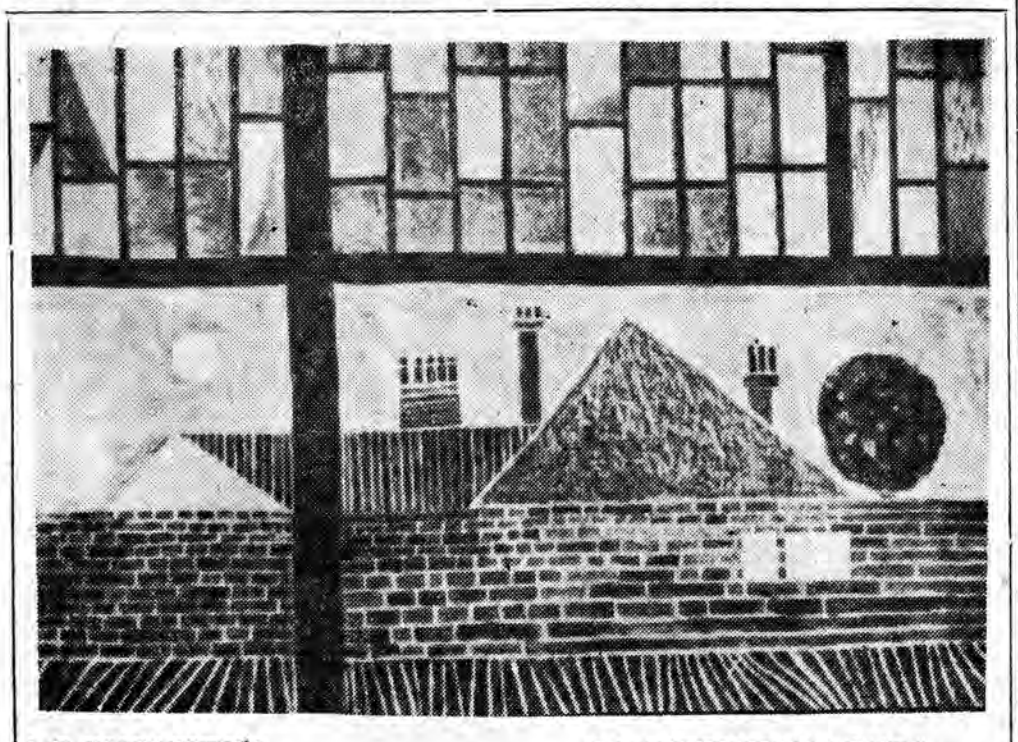

L. E. HOŁDANOWICZ — DACHY WIELKIEGO MIASTA

NOWINY TYGODNIA

Dodatek społeczno-kulturalny „Nowin Rzeszowskich"

Nr 6 (399) — SOBOTA 15. II 1958 r.

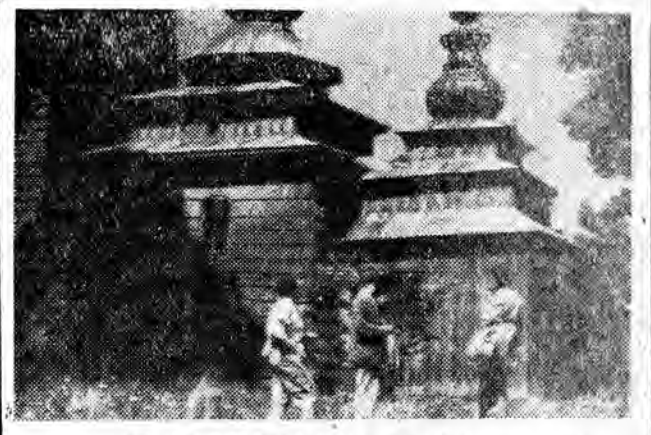

Cerkiew w Świątkowej Wielkiej (pow. Jasło).

Malowidła na płótnie w cerkwi w Świątkowej Wielkiej (Czytaj na stronie 3 rozmowę z dr Albinem Pietrusem współorganizatorem muzeum etnograficznego w Jaśle).

W 200-lecie urodzin Niemcewicza

PRZODOWAŁ SWOJEMU WIEKOWI

I ZAMKNĄŁ jego pochód. W tych słowach Adam Mickiewicz złożył na kursach Literatury Słowiańskiej hołd pamięci jednego z najwybitniejszych pisarzy naszego Oświecenia „walecznego żołnierza i statysty głębokiego, jak rzadko kto te łączącego przymioty", Juliana Ursyna Niemcewicza.

Zbyt wielki jest szmat przebytej przez niego drogi, zbyt szerokie horyzonty jego zainteresowań i obfity plon jego działalności, aby to wszystko zamknąć na kilku kartkach rocznicowego artykułu. Powiedział ktoś kiedyś, że „Niemcewicz był Polską". A czyż można tę Polskę Stanisława Augusta, Sejmu Czteroletniego, Insurekcji Kościuszkowskiej, Polskę pierwszych lat porozbiorowych, Polskę Mazurka Dąbrowskiego, napoleońskiej epopei, Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, Polskę Powstania Listopadowego i Wielkiej Emigracji zamknąć w nawiasie zdań kilku? A przecież ta cała Polska, czy też te wszystkie Polski — to jeden żywot Juliana Ursyna Niemcewicza.

Z okazji uroczystości rocznicowych zwykło wymieniać się datę i miejsce urodzenia; niech stanie się zadość tradycji: 16 luty 1758 r. w Skokach. Nie rodzi się nikt wielkim — niektórzy za to umierają wielkimi. Niemcewicz wielkim stał się za życia.

Niestety, pozostał wielkim w... legendzie. Bo kto, poza garstką historyków literatury i uczonych badaczy dziejów Polski, zagłębia się dziś w pisma jego omszałe pleśnią bibliotek? „Powrót Posła" i wydane ostatnio przez PIW „Pamiętniki czasów moich" — oto jedyna lektura z jego bogatej spuścizny przypomniana współczesnemu czytelnikowi.

Wychowany w dobie Oświecenia i wierny mu do końca w swoich przekonaniach, w racjonalistycznym ujmowaniu świata, w walce z sarmatyzmem, który kultywował najgorsze tradycje czasów saskich, nie zamykał Niemcewicz oczu na wszystkie prądy kulturalne epoki, jakie nurtowały ówczesną Europę. Sam pierwszy dandys stolicy, bawidamek i szlifierz salonowych posadzek, uroczy plotkarz i chętnie widziany przez wszystkich, wszędobylski, kpi z księcia Józefa i jego kosmopolitycznej socjety z Pałacu pod Blachą, wystawia niemiłosiernie na sztych swego dowcipu Szarmanckich i różne modne żony, a równocześnie apoteozuje postępowych naśladowców francuskiego Oświecenia. Rozumiał bowiem Niemcewicz, że właśnie oni, ci jakobini w obcych strojach, ale z głowami pełnymi światoburczych myśli, byli tymi przysiowiowymi drożdżami, które miały doprowadzić do fermentu kadź pełną zakiśniętej szlachetczyzny.

Był nie tylko szermierzem postępu, ale również walecznym żołnierzem. Wychowanek Korpusu Kadetów, zostaje w dwudziestym roku życia adiutantem generała ziem podolskich, księcia Adama Czartoryskiego, a po obwołaniu Kościuszki naczelnikiem, nie odstąpi go już do końca. Prowadzi korespondencję wojskową i zagraniczną Naczelnika, pisze odezwy i współdziała w redagowaniu manifestów, a kiedy ranny w bitwie maciejowickiej dostaje się do niewoli, idzie wraz ze swym wodzem do wilgotnej Pietropawłowskiej twierdzy nad Newą. Wierny aż do ostatka, nie opuszcza Kościuszki nawet po uwolnieniu z twierdzy. Odrzucając carski paszport, udaje się na długoletnie wygnanie. Powróciwszy zeń nie odpasuje oręża, dzielnie dowodząc podczas raszyńskiej bitwy. Wzór żołnierza jak gdyby żywcem zdjęty z któregoś z żywotów Plutarcha.

Prawy żołnierz, okazał się też głębokim „statystą" — politykiem. Wystarczy wspomnieć rolę, jaką poseł inflandzki — Niemcewicz — odegrał podczas debat Sejmu Czteroletniego; jego walkę o wprowadzenie Konstytucji majowej i „klubową" działalność prowadzoną wraz z Kołłątajem i „Kuźnicą"; nieustępliwie prowadzoną walkę z targowiczanami, jego liczne i wielokrotne kołatanie po obcych stolicach i dworach za sprawą polską, a wreszcie senatorskie i ministerialne funkcje „dyktatora moralnego Warszawy".

Polityk, żołnierz i autor był uczonym mężem. Jakżeby bowiem śmiano mianować go członkiem Izby Edukacyjnej i wizytatorem szkół Księstwa Warszawskiego, jakżeby śmiano powierzyć mu prezesurę Towarzystwa Przyjaciół Nauk i godność członka Towarzystwa Filozoficznego w Ameryce, gdyby było inaczej? Przecie to spod pióra Niemcewicza wyszły „Dzieje panowania Zygmunta III", „Listy Litewskie", „Krótka wiadomość o życiu i sprawach generała Washingtona", „Zbiór pamiętników historycznych o dawnej Polszcze" i wiele innych naukowych dzieł.

„Co będzie z Polską naszą?" — zastanawia się siedemdziesiecioikilkuletni emigrant. Zakłada Wydział Historyczny przy Towarzystwie Literackim w Paryżu oraz Bibliotekę Polską. Ogłasza prace omawiające ostatnie lata Rzeczypospolitej i „Żywoty znacznych w XVIII wieku ludzi". Bajki i powieści, przekłady pisarzy łacińskich, ożywione stosunki towarzyskie — które zawsze tak wielce sobie cenił — wypełniają do ostatka dnie pracowitego człowieka. W maju 1841 r. zamyka na zawsze oczy. Prochy jego złożone na cmentarzu w Montmorency po dziś dzień tam leżą.

ADRIAN CZERMIŃSKI

Ralph Merced

Upiorny week-end

(Opowiadanie)

PEWNEGO pięknego dnia (jeżeli mi wolno użyć tego zwrotu), otrzymałem wezwanie do pana Dunhill, notariusza, Slallep Street nr 54. Udałem się tam. Co innego zrobilibyście na moim miejscu? Zarabiałem w pocie czoła 50 funtów miesięcznie, a do mych projektów na najbliższą przyszłość należało poślubienie Mary Devons, która nic nie zarabiała i nie umiała ugotować nawet jajka, której rodzice nie znosili mnie, ale która miała najpiękniejsze zielone oczy, jakie widziałem w Londynie i poza Londynem.

Wezwanie to pachniało spadkiem. Przynajmniej mój wrodzony optymizm kazał mi tak przypuszczać.

Kancelaria pana Dunhill pachniała natomiast pleśnią i kurzem, w sposób wystarczająco przenikliwy, by zmusić mnie do kichnięcia. Gdy chciałem grzecznie zasłonić przy tym usta energicznym ruchem ręki strąciłem cały stos akt, leżących w pobliżu. Hałas sprowadził notariusza, który natychmiast zaprosił mnie bym przeszedł do jego gabinetu. Mądra ta zapobiegliwość miała oczywiście na celu położenie kresu dalszym zniszczeniom. Sprężyny fotela, w którym usiadłem, wydały jęk, jakby doszły do kresu wytrzymałości. Była to dla mych uszu niebiańska muzyka, towarzyszyła bowiem chrypliwemu głosowi pana Dunhill, który czytał dokument, z którego wynikało, że mój wuj Mikołaj zostawił mi na wyłączną własność, ośmiopokojowy dom z wielkim ogrodem i dziesiątkiem akrów uprawnej ziemi.

Żegnaj banku, żegnajcie krochmalone kołnierzyki i strachy przed spóźnieniem, witajcie mi, fantazyjne kolorowe koszule, aksamitne spodnie, świeży wyglądzie, swobodna praco — gdy mi na cię przyjdzie chętka — i potężne mięśnie, tak bardzo potrzebne mi przy Mary Devons.

Bez mrugnięcia okiem, nucąc nawet jakąś melodyjkę, zapłaciłem panu Dunhill funta za jakieś niejasne dla mnie czynności, połączone z zużyciem materiałów piśmiennych (takich właśnie akt, jak te, które zmusiły mnie do kichnięcia) i podpisałem wszystko, co mi tylko podsunął. Wyszedłem mając w kieszeni akt własności, a na twarzy jakiś wyraz zadowolenia i zuchwałości, którego darmo byś na niej szukał przed godziną.

Mary była zachwycona, klaskała w piękne białe rączki, a ja wreszcie ujrzałem olśniewający blask sztucznych zębów pani Devons. Zatrzymano mnie nawet na kolację.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nazajutrz była sobota. O świcie opuściłem Londyn w swym starym dzielnym Austinie, który wiernie odpowiadał nazwaniu „Carlotta", i po wielu przygodach dotarłem do wioski, gdzie miałem zamiar zostać powszechnie kochanym właścicielem ziemskim: Scotch-Diamond. Jak odgadliście, mój wuj Mikołaj mieszkał w Szkocji.

Spostrzegłem bez wysiłku, że mieszkańcy Scotch-Diamond obserwowali w niedzielę równie ściśle jak wszyscy Szkoci i minął pewien czas zanim znalazłem kogoś, kto mógł udzielić odpowiedzi na moje pytania. Ten człowiek, nienormalnie trzeźwy, zaprowadził mnie do wójta; w dziesięć minut później cała ludność zbiegła się przed mieszkanie swego edyla i podczas gdy ów wypytywał mnie, z zewnątrz dochodził stale wzrastający szmer głosów.

Kiedy już ze dwanaście razy stwierdziłem, że zamierzam naprawdę zamieszkać w posiadłości nieboszczyka wuja, wójt zaprosił mnie, bym usiadł, nalał mi solidny łyk whisky, i wreszcie puścił farbę: w High Grass był to dom nawiedzany przez upiory. Siłą powstrzymałem głupi wybuch śmiechu: nie jestem durniem i miałem nieugiętą wolę zostać poważanym i szanowanym obywatelem Scotch-Diamond. Pochyliłem więc nieco głowę (jak należało), zrobiłem zdziwioną minę, a potem, jak gdybym podejmował nagłą śmiałą decyzję, zawołałem głosem, któremu alkohol dodał mocy:

— A więc trudno! Mimo wszystko zamieszkam tam.

Tajemniczy środek łączności w mgnieniu oka przeniósł me słowa na plac: wśród gwaru dały się słyszeć okrzyki. hurra!

Wójt szczegółowo opowiedział mi o niebezpieczeństwach na jakie się narażam. O północy latały tam kamienie, ruszały się krzesła, dziwne światła ukazywały się przy akompaniamencie straszliwego śmiechu, krótko mówiąc, w domu straszyło według najlepszych prawideł dobrze wykonywanego rzemiosła duchów. Mój drogi wuj zmarł przed sześciu miesiącami (pan Dunhill, jak się okazało nie był kąpany w gorącej wodzie) i co noc od jego śmierci rozgrywał się tam festiwal upiorów. Pastor umył ręce od tej sprawy, a wójt w pełni popierał jego stanowisko, chociaż nie było po temu żadnych zrozumiałych dla mnie przyczyn.

Przez cały wieczór cała wieś prześcigała się w okazywaniu mi względów. Wójt uroczyście wręczył mi butelkę najlepszej whisky, a ojciec Cathram, najbliższy sąsiad High Grass, ofiarował mi drugą. Powoli zaczynałem rozumieć, że uważano, iż będę czymś w rodzaju ludzkiej ofiary, dzięki której rzeczy ułożą się jak należy, a umarli wrócą do swych grobów. Oczywiście, jeżeli to mój wuj Mikołaj zabawia się potrząsaniem w nocy łańcuchami, pękając ze śmiechu, tylko jego siostrzeniec potrafi zwrócić mu delikatnie uwagę, że przesadza i że i tak dość już się naśmiał.

Koło szóstej, wyposażony w żelazną siłę ducha, uginając się pod ciężarem zapasów żywności, wyruszyłem ku mojej posiadłości, odprowadzany przez wszystko co żyło, z kobietami i dziećmi włącznie. Cały orszak śpiewał i wrzeszczał w sposób bardzo sympatyczny. Zorganizowano małą orkiestrę, w której brakowało tylko wielkiego bębna. Ojciec Cathram kroczył u mego boku, trzymając się z respektem nieco w tyle, ale bez przesady, jak przystało pierwszemu sąsiadowi. Był oczywiście najbardziej wdzięczny ze wszystkich, gdyż żona nie przestawała mu suszyć głowę, aby wyniósł się z przeklętej okolicy.

High Grass okazało się takie, jak je sobie wyobrażałem, w zieleni pełnych obietnic drzew owocowych, które otaczały go ze wszystkich stron; dom był biały i czysty, zupełnie niepodobny do ponurych nawiedzanych przez duchy domostw na mających budzić grozę obrazkach. Gdy włożyłem klucz do zamka, zapanowała nagła cisza. Wszedłem, nie oglądając się nawet i na chybił-trafił skierowałem się w pierwsze drzwi z prawej strony: prowadziły one do biblioteki. Otworzyłem okno, co zostało powitane gromkimi wiwatami. Orkiestra zaczęła grać jakąś triumfalną fanfarę. Zrobiłem gest zapraszający chętnych do wejścia, ale nikt się nie kwapił. W pokoju była kanapa, więc zdecydowałem, że tu spędzę mą pierwszą noc wśród strachów.

Wróciłem do mego orszaku i wtedy okazało się, że zaczęto zakładać się, jak długo po północy wytrzymam w tej strasznej siedzibie upiorów. W dwie godziny później, w pełnym toku wesołego pikniku zaimprowizowanego na prędce na trawniku, wójt założył się o pięć funtów, że spędzę w domu całą noc. Czułem, że rodzi się we mnie uczucie zadowolenia panienki o kruchej cnocie, która widzi, że nareszcie poznano się na niej. O dziewiątej nieco niepewnym krokiem dotarłem do biblioteki. Zapomniałem powiedzieć, że mój wuj osobnik romantycznego usposobienia i nieco zacofany, używał oświetlenia naftowego. Lampa, którą zaświeciłem rzucała słabe światło, gdyż była w niej już tylko reszta nafty, ale jakaś dobra dusza zaopatrzyła mnie obficie w świece. Okazały się bardzo potrzebne... Dziesięć minut przed północą lampa zgasła. Usłyszałem na zewnątrz kilka okrzyków. To ci, którzy zawarli zakłady, obozowali na trawniku.

Zapaliłem świeczkę i podszedłem do okna, by wygłosić małą mówkę. Była ona zwięzła. Dobroduszne, ale nacechowane subtelną ironią moje słowa zostały nagle przerwane przez hałas, który rozległ się nad moją głową. Nie wiem, czy ktoś widział, że zbladłem; oświadczyłem pewnym głosem, że pójdę „zobaczyć", co to takiego. Wśród zupełnej ciszy, wziąłem świecę i otworzyłem drzwi biblioteki. Przede mną stał mężczyzna około pięćdziesiątki, w łachmanach, zarośnięty, w aureoli rozczochranej rudej czupryny. Bez słowa zdmuchnął mi świeczkę. Na zewnątrz rozległ się okrzyk.

Sparaliżowany przez... nazwijmy to zdziwieniem, nie spodziewałem się jakiejś napaści. Drab nie wyglądał na złego. Był tylko okropnie brudny. Przy blasku księżyca powoli przyzwyczaiłem się do ciemności i widziałem go znów na progu, nieruchomego, zastygłego w jakimś niezdecydowaniu.

— A więc — powiedziałem z zimną krwią, wymieszaną z whisky — to pan jest upiorem?

— Ja, odpowiedział człowiek.

— A jak się pan nazywa?

— Butch Williams.

— Przypuszczam, że mieszka pan tu od śmierci mego wuja i że broni pan swojego schronienia przy pomocy tych nocnych komedii.

— No tak — powiedział po prostu i, dostrzegłszy butelkę whisky na stole, dodał:

— Pan pozwoli?

Zanim zdążyłem powiedzieć, że nie pozwalam, pociągnął potężny łyk wprost z butelki.

— Wspaniała — powiedział. — Już dawno nie piłem takiej.

Przyglądałem mu się w świetle księżyca i przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

— Proponuję panu mały układ — powiedziałem. — Nie zdradzę pana, a nawet zaangażuję go jako robotnika w najlepszym czasie, ale w zamian za to odegra pan swój codzienny repertuar.

— Chce pan wzbudzić podziw, mój panie — powiedział z szyderczym uśmiechem. — Dobrze, zgoda.

I natychmiast rozległo się jego wycie, które znakomicie przypominało jęk nieszczęsnej, pokutującej duszy. Z trawnika odpowiedziały okrzyki przerażenia.

— Niech pan na nich popatrzy — powiedział Butch, który przywarł do futryny okna. Podszedłszy, zobaczyłem wójta, który gestem kury ochraniającej kurczęta wyciągał ramiona przed swą gromadką. Nieco na drugim planie zauważyłem jasnowłosego draba, który postawił dziesięć funtów, że nie wytrzymam dłużej na miejscu niż godzinę.

— Chciałbym postraszyć trochę tego tam — szepnąłem do Butcha, pokazując bezczelnego dryblasa.

Żebrak-upiór uderzył się w czoło.

— Proszę chwilę poczekać — powiedział. Wyśliznął się szybko z pokoju i po chwili wrócił z rękami pełnymi ciemnych kulek, które okazały się zgniłymi kartoflami. Zaczęła się zabawa, w jakiej po raz pierwszy w życiu brałem udział.

Pod przewodem Butcha, który znał dom lepiej ode mnie, biegałem z pokoju do pokoju, ciskając wraz z nim przez wszystkie okna zgniłymi kartoflami. Pierwszy pocisk trafił jasnowłosego draba w sam brzuch, tak, że omal nie zemdlał z przerażenia. Nigdy nie bawiłem się tak świetnie. Próbowałem również wydawać ponure wrzaski, ale Butch skarcił mnie surowo, stwierdzając, że robię to zupełnie bez pojęcia. Od czasu do czasu wystawiałem głowę przez okno biblioteki i donośnie wołałem: „Wszystko idzie jak najlepiej". Ponieważ nie potrafiłem śmiać się jak należało, Butch powierzył mi trzy wiadra zawieszone na sznurkach, które trzeba było ciągnąć po schodach. Dawało to znakomite wyniki. By pokrzepić się wśród tej pracy, od czasu do czasu zaglądaliśmy do whisky. Około piątej byliśmy już przyjaciółmi i wstawiliśmy się obaj, jak świnie, ale z gatunku tych czarnych świń. Kilka razy omal nie runąłem ze schodów razem z moimi wiadrami, ale na szczęście silna i czujna prawica Butcha chwytała mnie w porę.

— Skręcisz kark, mój stary — mówił, stawiając mnie na nogi i niezmordowanie biegał, rycząc od piwnic do strychu. Nalegałem, by przyrzekł mi, że mnie nie opuści, ale odpowiadał, że nie jest robotnikiem. Nie mogłem żadną miarą uzyskać od niego obietnicy i wśród tych perswazji zasnąłem nagle u jego boku na podłodze biblioteki, przy pustych butelkach.

Obudziłem się potrząsany krzepką dłonią. Leżałem na trawniku. Nade mną pochylał się wójt z zatroskaną miną. Zważywszy, ile wygrał na mnie w ciągu tej jednej nocy, nie dziwiłem się tej troskliwości.

— Jak się pan czuje? — zapytał.

Usiłowałem uśmiechnąć się do pochylonych ku mnie twarzy, ale miałem straszliwego kaca.

— Gdzie jest Butch — wyjąkałem z trudem.

— Butch Williams — zawołał wójt z niedowierzaniem. Ugryzłem się w język, uświadomiwszy sobie popełnioną gaffę.

— Wiedziałem, że to on — zawołał Cathram wymachując gwałtownie rękami. — Moja żona widziała, jak wychodził z cmentarza.

— Co on robił na cmentarzu? — wyjąkałem.

— Leży tam już przeszło pięćdziesiąt lat — odpowiedział wójt.

Nawet bohaterowie mdleją niekiedy. To właśnie natychmiast uczynił wasz sługa.

(Ilustrował Gerard Doruille)

Andrzej Munk i Jerzy Stawiński to znana para realizatorów filmowych, których nazwiska stały się głośne nie tylko w kraju, ale również w sferach filmowych zagranicą. Ostatni ich film „Eroica" uzyskał wysoką ocenę krytyki i widzów.

Andrzej Munk należy do najzdolniejszych polskich realizatorów filmowych młodego pokolenia. W swym dorobku ma kilka filmów dokumentalnych i trzy fabularne.

Jego „Poranek niedzielny" wyświetlany w wielu krajach, cieszył się dużym powodzeniem a „Błękitny krzyż" otrzymał nagrodę na festiwalu filmów górskich w Trydencie. W 1947 r. za film „Człowiek na torze" Andrzej Munk otrzymał nagrodę na najlepszą reżyserię na Festiwalu w Karlovych Varach.

Na zdjęciu: Andrzej Munk (z lewej) i Jerzy Stawiński. **CAF — fot. Kubiak**

LUDOMIR MAZELA

WIERSZE

★ ★ ★

Nie ma dla mnie odejścia, nie ma drogi od świata
Szlaki w niebo płynące ktoś w pętlice posplatał.

Ciężką serca kotwicą związał z ziemią na zawsze
Jakże odejść w zachody od krwi żywej najkrawsze...

Jakże mi was porzucić rzeki płaczem płynące,
Noce zimne od wzgardy, dni rozpaczą gorące...

Wszechmogących i biednych, przeogromnych i małych,
Ozłoconych radością i żałobą sczerniałych.

Więc ogarnę was wszystkich i szeroko, i wiernie —
Zakochany w istnieniu — zakochany śmiertelnie.

Pytanie

W tę ziemię wrosłem drzewem
korzeniami wierności oplotłem jej pierś
nauczyłem się na pamięć
podniebnego szyfru ptaków
poznałem do sedna dzikie targanie się
chmur burzowych
w naprężonych ramionach gałęzi
i słodki ciężar letniego popołudnia
Nikt nie pojął głębiej
tęczowej muzyki ważek-wiropłatów
w huraganie sierpniowej ciszy
nikt.
Tylko dlaczego
w wieloramiennej gwieździe
mojego cienia
nie stanął
człowiek

Na pytania ODPOWIADA:

Dr ALBIN PIETRUS — współorganizator muzem etnograficznego w Jaśle

W ostatnim numerze „Nowin Tygodnia" z ubr. zamieściliśmy artykuł doc. Fr. Kotuli na temat problemów muzealnych w naszym województwie. Z artykułu tego wynikało, że zostaną utworzone muzea regionalne o charakterze etnograficznym. Tego rodzaju placówka kulturalna obejmująca całe Pogórze ma powstać w Jaśle.

Celem poinformowania czytelników o stadium realizacji tego projektu udałam się do Jasła. Zastałam jednego z twórców „In spe" muzeum dr Albina Pietrusa, który z zawodu jest lekarzem-pediatrą, a jego „konikiem" jest sztuka w ogóle, w szczególności zaś kolekcjonerstwo eksponatów o znaczeniu muzealnym. Na wstępie dowiaduję się, iż myśl zorganizowania muzeum w Jaśle powstała na walnym zebraniu członków Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w 1957 roku.

— Czy projekt ten opierał się na z góry przewidzianych funduszach na zakup eksponatów, czy też zakładał raczej ofiarność społeczeństwa?

Pozycja budżetowa a raczej dotacja była minimalna (5.000 zł). Liczono głównie na zrozumienie ważności podjętego dzieła i ofiarność społeczeństwa. W tym to celu wydano odezwę do mieszkańców powiatów: jasielskiego, gorlickiego, krośnieńskiego, strzyżowskiego i brzozowskiego, za pośrednictwem której zwrócono się z prośbą o dostarczenie — o ile ktoś posiada — dawnych narzędzi pracy, sprzętów domowych i gospodarskich, strojów chłopskich i mieszczańskich, instrumentów muzycznych, wykopalisk, wyrobów artystycznych itp.

— Jaki był odzew na ten apel?

— Jak dotąd bardzo nikły. Zebrano już wprawdzie około 300 eksponatów, z tych zaledwie kilka zostało kupionych, ale nie przyszło to łatwo. Trzeba było jeździć i chodzić od wsi do wsi, przekonywać ludzi i prosić, by cokolwiek uzyskać. Do zebrania eksponatów przyczyniła się grupa współpracowników, m. in. dyrektor Janiga, ob. L. Mac, ks. Szerlągowski z Dębowca, ob. Józefowicz i inni.

— Czy PTTK dysponuje odpowiednim lokalem na urządzenie muzeum?

— Na razie wszystkie zebrane przedmioty są zmagazynowane w jednej niewielkiej salce, obok komendy hufca ZHP. Jest jednak nadzieja, że nowowybrana MRN w Jaśle ulokuje harcerzy w dogodniejszym dla nich pomieszczeniu, a dotychczasowe przeznaczy na muzeum, dla którego niezbędne jest posiadanie 4 do 5 ubikacji. Trzeba dodać, że pilna to sprawa. Zebrane bowiem płótnianki, żarna na głowy, przedmioty związane ze zwyczajami ludowymi, jak gwiazdy, turonie, osypanki weselne itp. trzeba zinwentaryzować i niezwłocznie umieścić w odpowiednich gablotach.

— Czy inwentaryzację już rozpoczęto i czy PTTK posiada potrzebne wyposażenie?

— Owszem. Dokonano szczegółowego opisu 60 eksponatów. Prace te posuwają się bardzo powoli z uwagi na brak etatowego pracownika o wymaganych kwalifikacjach. Jeśli chodzi o materiał na wyposażenie muzeum, to otrzymaliśmy drzewo dębowe od dyrektora Janigi, gabloty mają wykonać warsztaty kopalnictwa w Potoku.

— W jakim terminie należy spodziewać się udostępnienia muzeum dla publiczności?

— Chcielibyśmy dokonać tego we wrześniu br. ponieważ na ten właśnie miesiąc jest projektowana wystawa współczesnej sztuki ludowej Pogórzan i Łemków. Jeśli odbędzie się ona w salach muzeum, to jasne, że zostanie ono wzbogacone w wiele cennych przedmiotów.

Z dalszej rozmowy z dr Pietrusem wynikało, że zarówno on sam jak i grupa podobnych jemu entuzjastów z PTTK w Jaśle nie ogranicza swych zainteresowań do kręgu tych przedmiotów, które można umieścić bezpośrednio w gablotach. Dr Pietrus dokonuje zdjęć ciekawych architektonicznie obiektów i pozostałych jeszcze tu i ówdzie dzieł sztuki ludowej na Pogórzu. Fotografii zebrało się już sporo, a z pewnością i one znajdą się na ścianach jasielskiego muzeum, którego twórcom należy życzyć szerszego zainteresowania ze strony społeczeństwa, jak również otrzymania pozytywnej odpowiedzi na prośbę wysłaną już dość dawno do dyrekcji „Koniczynki" w Rzeszowie.

Rozmawiała:
M. TROJANOWSKA

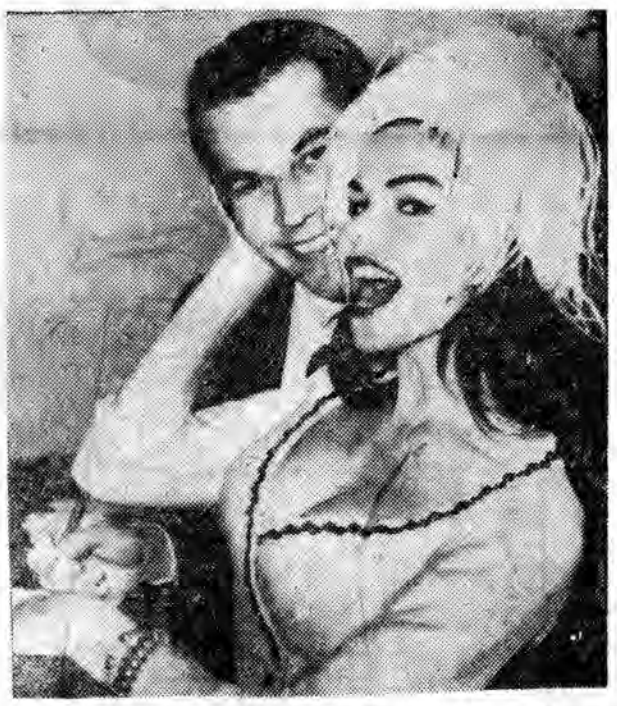

Australijski aktor Ron Randell nakręcił w NRF film i przywiózł do Stanów Zjednoczonych narzeczoną — modelkę niemiecką Laya Raki. Ostatnio pobrali się oni w Los Angeles.

„Nowiny Tygodnia" wywołują ducha kolekcjonerstwa

JAK ZOSTAŁEM ZBIERACZEM?

W „NOWINACH TYGODNIA" nr 21 przeczytałem artykuł doc. Fr. Kotuli, znanego muzeologa pt.: „O zbieraczach i zbiorach". Artykuł ten uważam za dyskusyjny, bo i nadtytuł jego „Nowiny Tygodnia" wywołują ducha kolekcjonerstwa" na to wskazuje. Dlatego pragnę podzielić się z czytelnikami kilku uwagami, jak się tego ducha „zbieractwa" nabiera.

Są różni zbieracze różnych rzeczy: obrazów, starych monet, makat, znaczków pocztowych, ba nawet pudełek po zapałkach. Wszyscy oni są pochwały godni, bo zaspokajają swoje zainteresowania, a to daje im duże zadowolenie.

Zbieranie obrazów uważam za jedną z najpiękniejszych i szlachetnych „pasji". Obrazy bowiem dają dużo zadowolenia dla oka i ducha. Jestem właśnie jednym z takich. Jak do tego doszedłem? Widać, że już od wczesnej młodości miałem zamiłowanie do piękna, jak zresztą każdy z nas miał jakiś pociąg do pewnych rzeczy. Już w gimnazjum byłem zbieraczem ładnych kartek — widokówek. Już wtedy pasjonowało mnie to zbieractwo i układałem te kartki przedstawiające malarstwo polskie początku XX w. w różne esy floresy na zielonym papierze i ta ozdoba służyła mi za dywanik nad łóżko. Do dziś mam z tych kartek znanych malarzy polskich 10 dużych albumów. Aspiracje moje zaczęły się w tym względzie coraz bardziej rozwijać. Pasjonowały mnie coraz więcej oryginalne obrazy, które tak bawiły oko i były moim marzeniem. Zacząłem już w gimnazjum czytać książki o malarstwie, a nawet sam próbowałem coś „tworzyć" farbami olejnymi, z czego jednak nic nie wypadło.

Po ukończeniu uniwersytetu, losy życia zetknęły mnie z trzema ludźmi i to — o dziwo — wszyscy trzej rozumieli się na sztuce. Od nich to dostałem pierwsze dobre obrazy „na pamiątkę". I odtąd, tj. od lat 40 zacząłem z pasją zbierać obrazy. Oczywiście na jakieś wielkie dzieła nigdy mnie stać nie było, ale zadowalałem się rzeczami mniejszymi, które piękne były dla mnie i miały już jakieś znane nazwisko autora.

Również w drodze wymiany powiększały się moje zbiory. Stykałem się w życiu również z różnymi artystami (Wojciech Kossak, Kasper i Stanisław Pochwalscy, Jan Rubczak, Jerzy Rupniewski, Kidoń, Emil Krcha, Studencki, Kochanek itd.), którzy widząc moje zamiłowanie do sztuki i trochę znawstwa, za bezcen swoje prace mi oddawali.

Kilka dobrych obrazów na drzewie i płótnie znalazłem w wiejskich domach. Były one zawieszone w sieni lub przylepione do okapu kuchni, na których dzieci przyklejały wycięte z papieru pajace. Aż dziw, skąd się one tam wzięły. Mogę powiedzieć śmiało, że połowa moich zbiorów (a mam ich 154 oprócz wielu sztychów i grafik) — w ten sposób zdobyłem. Obrazy po prostu lgnęły do mnie, bo specjalnie za nimi nie jeździłem.

Nie sztuka mieć dużo pieniędzy i nabyć coś dobrego. Mnie na to stać nie było. Ale kilka razy straciłem okazje. Pewna osoba oferowała mi Juliusza Kossaka za 1.000 zł. Był to wspaniały obraz „Ułan na koniu". Suma ta jednak na owe czasy była dla mnie za duża. Niedługo potem dowiedziałem się, że sprzedała go za 600 zł. Taką sumę i ja byłbym dał.

Znany malarz bydgoski Jerzy Rupniewski gościąc raz u mnie i widząc moje wielkie zainteresowanie sztuką oferował mi dużych rozmiarów obraz „Burza na Bałtyku", którego cenę obniżył dla mnie z 1.000 na 600 zł. Nie wziąłem. Za miesiąc widziałem reprodukcję tego obrazu w pismach warszawskich. Zakupiła go „Zachęta" za 5.000 zł. Okazja stracona. I tak było kilka razy. Pocieszam się jednak, że nie tylko ja traciłem takie okazje.

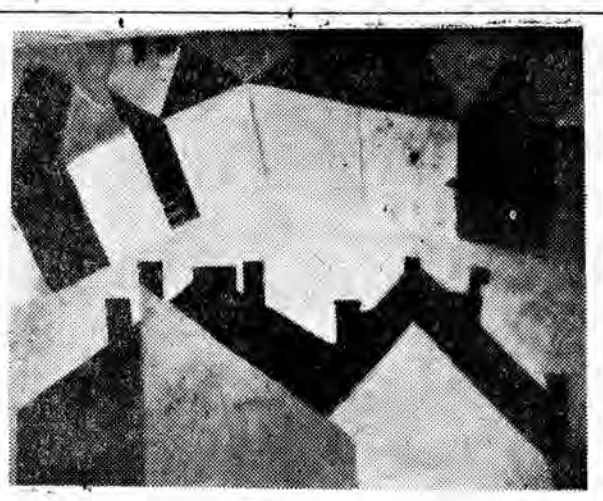

JERZY MAJEWSKI — PEJZAŻ

Zbieractwo — jak nazwał tę pasję doc. Kotula — daje dużo radości i zadowolenia człowiekowi. Długi czas sam ogląda rzecz nową, cieszy się, gdy udało mu się coś uratować, co było skazane na zapomnienie i zagładę, ozdabia przy tym i podnosi kulturę swego mieszkania. Miałem u siebie kilka razy napad bandytów i różnych złodziei. Przyszli po „kapitał" — którego nie znaleźli, bo go nie było. Wzięli co było cenniejsze z ubrania i rzeczy codziennych, ale na obrazy ani się nie popatrzyli.

Przyłączając się do głosu doc. Kotuli apeluje do miłośników rzeczy pięknych o zbieranie tychże. Trzeba tylko raz zacząć a z czasem dojdzie się do zbioru, który będzie cieszył nie tylko właściciela, ale i tych, co to oglądać będą. Przez moje 3 pokoje obwieszone obrazami przesuwają się co rocznie setki kuracjuszy i wczasowiczów z pobliskiego zdrojowiska, a ja poznaję ludzi z całej Polski, z którymi nieraz utrzymuję kontakt przez pocztę i to mnie cieszy.

W. K.

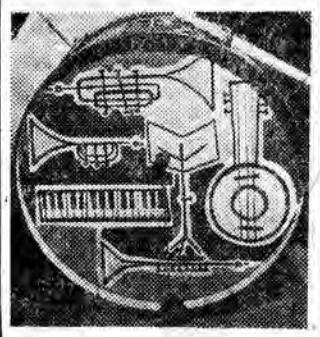

A. LEK — JAZZ

notatnik KULTURALNY

„Wesele jastrząbskie"

OBYWATEL Furgał, jako stary mieszkaniec wsi Jastrząbka Stara powiatu dębickiego, od dawna już interesował się zwyczajami ludowymi i różnymi widowiskami, które w jego wsi utrzymują się w pewnym stopniu do chwili obecnej. Stwierdza on, że przyczyną stopniowego „zanikania" folkloru jest systematyczne zmniejszanie się różnicy między miastem a wsią.

— Młodzież wiejska — mówi ob. Furgał — „żywa" się coraz bardziej z miastem, gdzie pracuje w różnych zakładach przemysłowych i... „odzwyczaja" się częstokroć od życia wiejskiego. — Odpowiadając na nasze pytanie jak powstał utwór sceniczny pt. **„Wesele jastrząbskie"**, autor jego wyjaśnia: — Ambicją moją było utrwalenie dawnych zwyczajów weselnych związanych jak najściślej z Jastrząbką Starą. Zbierając więc materiał, starałem się wiernie odtworzyć przede wszystkim tzw. „zamówiny" oraz cały przebieg uroczystości weselnych.

Odnośnie piosenek, których bardzo dużo włączono do akcji „Wesela" dowiadujemy się, że są one śpiewane w Jastrząbce Starej i w sąsiednich wioskach od niepamiętnych czasów. — Starałem się — mówi ob. Furgał — odtworzyć je jak najwierniej, w czym pomagał mi nasz „krajan" Marian Początko, który jest nauczycielem szkoły muzycznej w Tarnowie.

Okazuje się, że trudności z wystawieniem „Wesela jastrząbskiego" były bardzo duże, ale... przy zapale i entuzjazmie pewnej grupy młodzieży jakoś się je przezwyciężyło i utwór Furgała oglądała Jastrząbka Stara po raz pierwszy w lutym ubr. Trzeba dodać, że mimo kilkakrotnego wystawiania, „Wesele" zawsze było dla mieszkańców wsi ...„nowością".

W czerwcu ubr. „Wesele jastrząbskie" znalazło się również w programie powiatowej imprezy festiwalowej zorganizowanej w Pilźnie, gdzie cieszyło się wielkim powodzeniem.

Jastrząbka Stara nie poprzestała jednak na „Weselu". Zespół teatralny opracował również „Dożynki jastrząbskie", za wystawienie których otrzymał nagrodę pieniężną od kierownictwa PZGS Debica.

(JAG)

*KSIĄŻKI*KSIĄŻKI*KSIĄŻKI*KSIĄŻKI*KSIĄŻKI*

ONDRASZEK POWSTAŃ ŚLĄSKICH

ŻYWA narracja, sympatyczni bohaterowie, burzliwe tło historyczne i nastrój wielkiej przygody — wszystko to chyba wystarczy, by książka przykuła uwagę czytelnika, zwłaszcza młodego.

„Mat Kurt Kraus" Gustawa Morcinka) wiąże się tematycznie z okresem trzech powstań śląskich. Do tematu tego wraca Morcinek w swej twórczości najchętniej i najczęściej. „Wyrąbany chodnik", „W obronie progu", częściowo „Pokład Joanny" poświęcone były tym doniosłym dla dziejów Śląska wydarzeniom.*

Tym razem bohater jest zadziornym i pięknym zawadiaką, jakimś nowym wcieleniem Ondraszka. Chłopak ambitny, żądny życia i przygód, marynarz floty niemieckiej w czasie pierwszej wojny światowej. Tam przeszedł swą pierwszą szkołę patriotyzmu. Prześladowany i upokarzany z racji swego polskiego pochodzenia, wiąże się po powrocie z polskimi organizacjami społecznymi na Śląsku i bierze udział w kolejnych powstaniach.

Działalność społeczna Kurta i jego przyjaciół stanowi kanwę powieści, której największym urokiem są burzliwe przygody bohatera. Kurt jest uczestnikiem najbarwniejszych przygód, które sprawiają, że akcja powieści trzyma czytelnika w nieustannym napięciu.

Bezsprzecznym walorem książki jest także jej prostota i bezpretensjonalność, które w połączeniu z serdecznością, z jaką autor ukazuje swych bohaterów, daje pogodną i pełną wdzięku książkę dla młodzieży.

Nie bez znaczenia jest także wymowa wychowawcza powieści — dyskretna i naturalna, wiążąca się bezpośrednio z perypetiami Kurta.

Przypuszczać należy, że nową powieść Morcinka przeczyta z przyjemnością również wielu dorosłych, dając się wciągnąć w młodzieńczy nastrój romantyki i wielkiej przygody.

***) Gustaw Morcinek — Mat Kurt Kraus. MON. 1957. Str 370. Cena zł 22.**

SAGA O LUDZIACH Z KAMIENIA

SUROWA jest Islandia, zwłaszcza dla poetów, którym nie użycza ani pięknych słonecznych widoków, ani ludzkiej życzliwości. W nieustannej walce z bezpłodną ziemią i stałym zmaganiu z morzem, Islandczycy skamienieli i stali się jak ich rodzinne lodowce. Jak przebić ten twardy pancerz obojętności, jak przekonać ludzi, że świat jest piękny, a oni sami dobrzy?

Zagubiony w tym twardym, nieprzychylnym otoczeniu błąka się młody poeta, chory z braku serdeczności i zrozumienia.

„Światłość świata") — to nowowydana, z czterech ksiąg złożona saga Halldora Kiljana Laxnessa poświęcona ciężkiemu życiu ludu Islandii. To hołd złożony tym wszystkim wynędzniałym, rozdartym, posępnym ludziom, którzy w swym instynktownym dążeniu do lepszej doli nie zaznali powodzenia. Twardymi i posępnymi uczyniło ich życie, w każdym jednak mieszkańcu wyspy, jak zresztą i w każdym człowieku, drzemie nieodkryty pierwiastek miłości i dobroci.*

Wierzy w to autor, wierzy w to i bohater sagi, żałosny poeta niezrozumiany i śmieszny. Dla Laxnessa nieważne jest to, czy Olafur ma rzeczywiście talent, czy istotnie jest wielkim poetą. Ważna jest natomiast jego poetycka dusza, która chce rozgrzać skamieniałość serc ludzkich. Bezbronny, inny, zagubiony wśród swoich, przeciwstawia każdej, nawet najsłuszniejszej walce swe gorące, wrażliwe serce.

Twarde życie fiordów nie sprzyja jednak poetom. Zginą w nierównej walce z oschłością i zimnem. Olafur stęskniony za dobrem, samotny, zapatrzony w swą własną wizję świata odejdzie pokonany, do końca bezbronny i niezrozumiany. Zabłąkany promień wśród szarych skał Islandii.

B. SID

***) Halldor Laxness — Światłość świata. Czytelnik. 1957. Str. 633. Cena 30 zł.**

RZESZOWSCY PLASTYCY — ALFRED KUD

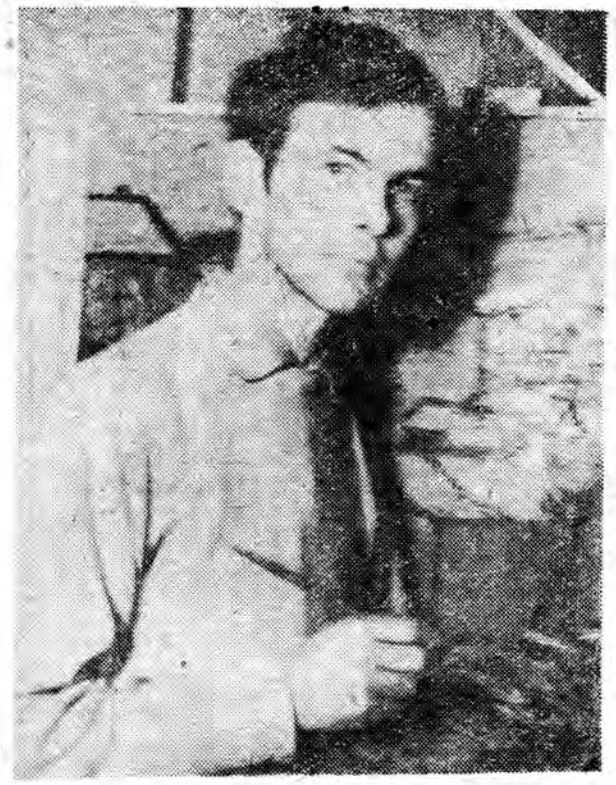

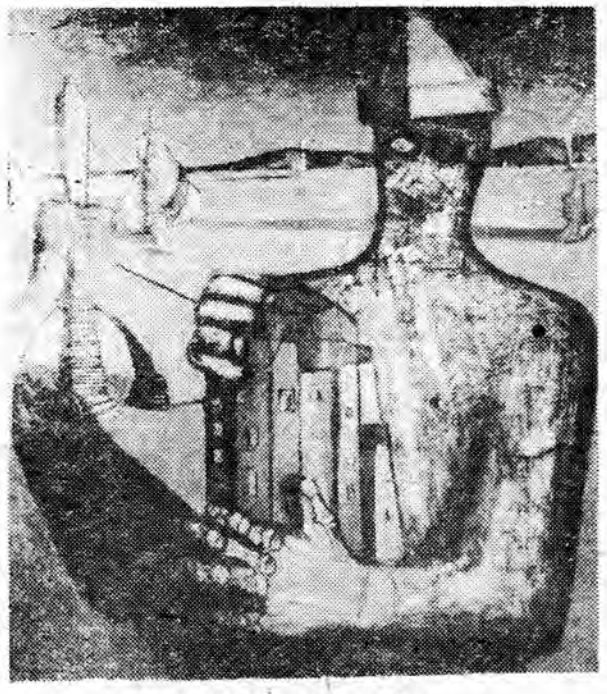

KAMIENNE FIGURY

Funkcja malarstwa na skutek przemian rozwojowych uległa rozszerzeniu. Część działania, które należało dawniej do malarza — przejęły fotografia i film, natomiast plastyk w dzisiejszym układzie sił proponuje kształt współczesności, proponuje kształt architektury, filmu mebli, przedmiotów codziennego użytku. Czyni to nie tylko przez bezpośrednią działalność w tych dziedzinach, ale pośrednio przez swoje malarstwo, poprzez wartości emocjonalne i intelektualne swojej sztuki, poprzez jej klimat. Siła jego wyobraźni zmienia formy wielu zjawisk i w tym chyba należy szukać związków sztuki współczesnej z życiem.

Alkud

ROZWIĄZANIE „Błyskawicznego konkursu filmowego"

Prawidłowe odpowiedzi brzmią:

1. **Diabeł wcielony**
2. **Czerwone i czarne**
3. **Odrodzeni**
4. **Monsieur Ripois**

Nasz „Błyskawiczny konkurs filmowy" (patrz poprzedni numer „Nowin Tygodnia") wywołał duże zainteresowanie Czytelników. Do czwartku otrzymaliśmy 676 odpowiedzi z czego 578 trafnych. 87 proc. rozwiązań nadesłały Czytelniczki (ach ten Gerard Philipe) a tylko 13 proc. płeć brzydka.

Najwięcej nieporozumień sprawiło zdjęcie nr 1. Odpowiadano „Urok szatana", „Pustelnia parmeńska" i „Piękności nocy". Poza tym wielu konkursowiczów przysłało nawet wykaz partnerek Gerarda Philipa ze wszystkich 4 filmów. Pytano także z jakiego filmu pochodzi (patrz poprzedni numer tygodnika) zdjęcie zamieszczone na pierwszej stronie „Nowin Tygodnia". Wyjaśniamy, że zdjęcie to nie pochodzi z żadnego filmu, a jest po prostu prywatną fotografią bohatera „Fanfan Tulipana".

W wyniku losowania nagrody (ufundowane przez redakcję „Nowin" i Centralę Wynajmu Filmów w Rzeszowie) otrzymują:

1. Anna Miśkiewicz — Przeworsk, Świerczewskiego 25 („Dzieła Wybrane" J. Parandowskiego).

2. Maria Piórek — Łańcut, Grunwaldzka 3 („Poezje zebrane" Tadeusza Różewicza).

3. Wanda Marcinkowska — Rzeszów, Boczna Śniadeckich 2 („Raj amerykański" Kischa).

4. Edward Delimat — Mielec — Osiedle Blok 48 („Dziewczęta z Nowolipek" — Poli Gojawiczyńskiej) oraz pięć nagród pocieszenia — fotosy filmowe z Gerardem Philipem: **Janina Wójtowicz** — Jarosław, Blichowa 5, **Barbara Bieda** — Rzeszów, Wróblewskiego 5, **Maria Hrynkiewicz** — Przemyśl, 3 Maja 28, **Helena Feret** — Jarosław, Sandomierska 24, **Zofia Lachman** — Rudnik n/Sanem, Tartaczna 1.

(Wszystkie nagrody roześlemy pocztą i już wkrótce wspólnie z Centralą Wynajmu Filmów ogłosimy nowy konkurs z cennymi nagrodami).

Odpowiedzi Redakcji

Antoni Gromski Rzeszów. Prosimy o skomunikowanie się z „Nowinami Tygodnia" — pokój 102 w godz. od 14—15.

Józef Kolecki Dębica. Materiał nie nadaje się do teatrzyku „Puste makówki"

GINA W... PARLAMENCIE

Przebywająca w USA Gina Lollobrigida zwiedziła Capitol — siedzibę parlamentu amerykańskiego. Widzimy ją z młotkiem speakera, wręczonym jej przez Sama Rayburn'a, który był jednym z gości na przyjęciu, wydanym przez uroczą aktorkę dla członków Kongresu pochodzenia włoskiego.

CAF

CO UJRZYMY na EKRANACH

ZAMACH NA KUTSCHERĘ

Już za kilka dni wejdzie na ekrany krótkometrażówka dokumentalna, poświęcona zamachowi na kata Warszawy gen. SS Kutschera — jednej z najpiękniejszych kart polskiego ruchu oporu w okresie ostatniej wojny.

Zrealizowany przez reż. Włodzimierza Borowika film ten stanowi próbę odtworzenia przebiegu bohaterskiej akcji. Występuje w nim czterech żyjących uczestników zamachu: „Miś" — M. Isajewicz oraz trzy byłe łączniczki.

Aby możliwie jak najwierniej zrekonstruować wydarzenia, od których dzieli nas okres 14 lat, na ekranie oglądamy tylko fragmenty postaci biorących udział w akcji, ich twarze nie są pokazane na ekranie.

FILATELISTYKA

(nr 6)

HENRYK WIENIAWSKI

Ostatnie miesiące roku ubiegłego były obfite w nowe wydania. Wprowadzono m. in. do obiegu znaczek wartości 2.50 zł, wydany z okazji III Międzynarodowego Konkursu im. Henryka Wieniawskiego, wykonany techniką notograwinzową w kolorze niebiesko-stalowym.

Henryk Wieniawski, polski mistrz gry skrzypcowej i znakomity kompozytor modlił się w r. 1835 w Lublinie. Wykształcony w konserwatorium paryskim już w 13 roku życia rozpoczął karierę wirtuozowską, koncertując we wszystkich większych miastach Europy. Największe triumfy święcił w Rosji będąc nadwornym solistą w Petersburgu.

Jako kompozytor stworzył arcydzieła stylu koncertowego m. in. Polonez, Mazurki, sławną „Legendę" opus 17. W czasie tournee po Rosji zaskoczyła go w r. 1880 śmierć.

J. KRYWIAK

Rzecz rozgrywa się na forum Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania w Ciemnogrodzie.
Reżyseria, inscenizacja i dekoracje — Lesław Koliejwicz

ZAMIAST PROLOGU:

Mamy takie przykazanie
śnieg odgarniać ulicami!

PRZODOWNIK PRACY MPO

Śnieg odgarniać? Piękna rada
— a jak jutro znów napada?
Albo odwilż przyńdzie przódzi:
darmo tylko człek się strudzi.
Z śniegiem przecie tak się dzieje
jak ma stopnieć — sam stopnieje.
A że droga barz je śliska
— toć raj mają stąd dzieciska.
Wielgie panie — co tak bucom
niech się lepiej ślizgać ucom.
A jak chtóra noge złamie
boskie bendzie to skaranie.
Ja tam chodze tyli roków,
jescem se nie obtłukł boków.
I nie bede zgarniał śniegu
wolę pójść se na „jednego".
(wszystko wskazuje na to, że idzie).

HUMOR — HUMOR — HUMOR

Bez podpisu

— Przyszłyśmy się opalać

NIE TRUDNO ZGADNĄĆ

CZY ZNASZ NAZWY ZAGADEK? SZYFROGRAM

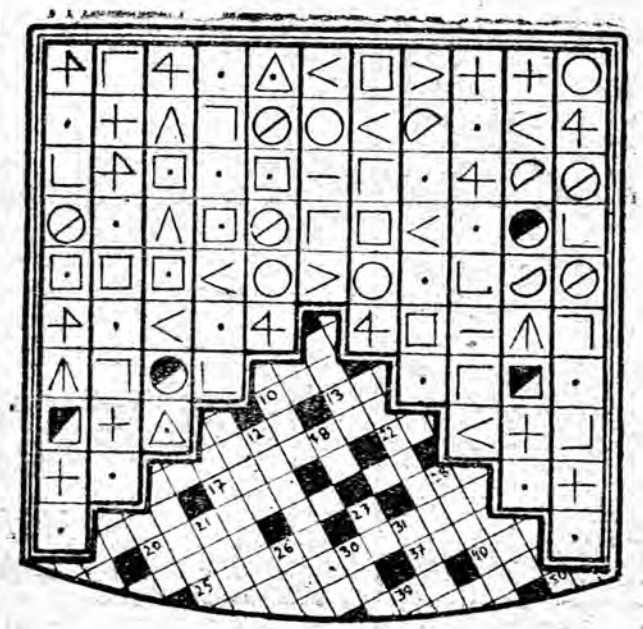

Każdy znak na rysunku odpowiada jednej literze abecadła. Drogą odpowiednich porównań i rozumowania należy odczytać w jedenastu rzędach pionowych 11 nazw typów zagadek. Dla ułatwienia podaje się, że kropką oznaczono literę „A".

HOMONIM

Ach — wykrzyknęła .....
.. .... spać mi nie daje.
Choć bardzo zasnąć się staram,
Wciąż przed oczami mi staje.
A kiedy głowę odwrócę,
By znikła wreszcie sprzed oczu,
To znów ... ... w klatce
I diabły z nią się droczą.

(Homonimy — to wyrazy jednakowo brzmiące, a mające różne znaczenia. W powyższej zagadce należy wpisać zamiast kropek kolejno: wyraz sześcioliterowy, dwa wyrazy (dwu i czteroliterowy) oraz dwa wyrazy trzyliterowe o tym samym brzmieniu.

Za rozwiązanie przynajmniej jednej z tych zagadek przesłane do 14 dni pod adresem: Nowiny Rzeszowskie. Oddział w Przemyślu, ul. Waryńskiego 15 — przeznaczone są do rozlosowania 3 nagrody (bony książkowe).

ROZWIĄZANIA I NAGRODY Z NR 48 (392)

Zespół kwadratów magicznych: Kwadrat 5x5 — Marat, Adama, ramol, talar; a) stos, tort, orze, step; b) skat, koma, amentany; c) zero, epos, Roma, osad; d) omen, meta, atom, mama; e) tran, rota, atom, Nana; f) dama, Ares, mata, asan; g) agat, Gana, bona (wsp.), tabu; h) tama, Anin, mika, rana (wsp.); I) pro, rok, oko; II) PKO, kos, ost; III) Ala, lir, ara; IV) Aza, zew, AWO.

Nagrody wylosowali: I. Kazimierz Skarbowski — Jarosław, II. Franciszek Sarama - Rzemień, III. Janina Kocik - Przemyśl.

Nagrodę autorską otrzymuje Marian Stelmach — Przemyśl.

UWAGA SZARADZIŚCI!

Niniejszy kącik jest ostatnim z okresu objętego „Konkursem Noworocznym" ogłoszonym w Nr 1 (394) Nowin Tygodnia.

Przypominamy, że jednym z jego warunków jest podanie 1—3 zagadek z kącików od Nr 33 (377) do dzisiejszego, które uważają Czytelnicy za najlepsze. Termin nadsyłania ocen upływa z dniem **15 marca br.**